

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

TRZY WIEDZMY

ŚWIAT DYSKU

TERRY PRATCHETT

TRZY WIEDZŹMY

Przełożył
Piotr W. Cholewa



Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału:
WYRD SISTERS

Copyright © Terry and Lyn Pratchett 1988
First published by Victor Gollancz Ltd, an imprint
of the Orion Publishing Group Ltd, London

Projekt okładki
Zombie **S**putnik **C**orporation

Ilustracja na okładce:
Josh Kirby/via Thomas Schlück Agency

Redakcja:
Łucja Grudzińska

Redakcja techniczna:
Anna Troszczyńska

Korekta:
Jadwiga Przeczek

Skład komputerowy:
Waldemar Maciąg

ISBN 978-83-7648-727-4

Fantastyka

Wydawca:
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-651 Warszawa, ul. Garażowa 7

Druk i oprawa:
Drukarnia Naukowo-Techniczna
Oddział Polskiej Agencji Prasowej SA
03-828 Warszawa, ul. Mińska 65

Tego samego autora polecamy:

KOLOR MAGII

★

BLASK FANTASTYCZNY

★

RÓWNOUMAGICZNIENIE

★

MORT

★

CZARODZICIELSTWO

★

ERYK

★

TRZY WIEDŹMY

★

PIRAMIDY

★

STRAŻ! STRAŻ!

★

RUCHOME OBRAZKI

★

NAUKA ŚWIATA DYSKU I, II I III

★

KOSIARZ

★

WYPRAWA CZAROWNIC

★

POMNIEJSZE BÓSTWA

★

PANOWIE I DAMY

★

ZBROJNI

★

MUZYKA DUSZY

★

CIEKAWY CZASY

★

MASKARADA

★

OSTATNI BOHATER

★

NA GLINIANYCH NOGACH

★

WIEDŹMIKOŁAJ

★

WOLNI CIUTLUDZIE

★

BOGOWIE, HONOR,
ANKH-MORPORK

★

OSTATNI KONTYNET

★

CARPE JUGULUM

★

PIĄTY ELEFANT

★

PRAWDA

★

ZŁODZIEJ CZASU

★

ZIMISTRZ

★

STRAŻ NOCNA

★

POTWORNY REGIMENT

★

PIEKŁO POCZTOWE

★

ŁUPS!

★

ŚWIAT FINANSJERY

★

HUMOR I MĄDROŚĆ
ŚWIATA DYSKU

★

NIEWIDOCZNI AKADEMICY

★

ZADZIWIĄJĄCY MAURYCY
I JEGO EDUKOWANE GRYZONIE

★

W PÓLNOC SIĘ ODZIEJĘ

Odwołania do dzieł Shakespeare'a na podstawie:

Makbet w przekł. Józefa Paszkowskiego

Hamlet w przekł. Józefa Paszkowskiego

Jak wam się podoba w przekł. Józefa Ulricha

Król Henryk IV w przekł. Leona Ulricha

Sen nocy letniej w przekł. Stanisława Koźmiana

Król Lir w przekł. Józefa Paszkowskiego

Sonet 18 w przekł. Stanisława Barańczaka

Osoby: trzy czarownice, a także królowie, sztylety, korony, burze, krasnoludy, koty, duchy, widma, małpy, bandyci, demony, lasy, następcy, trefnisie, tortury, trolle, wirujące sceny, ogólna radość oraz wrzawy wielorakie.



Huczała wichura. Błyskawice raz po raz kłuły ziemię, niby niezręczny skrytobójca. Grom przetaczał się tam i z powrotem po ciemnych, chłostanych deszczem wzgórzach.

Noc była czarna jak wnętrze kota. Można by uwierzyć, że właśnie w taką noc bogowie przesuwają ludzi niczym pionki na szachownicy losu. Pośród tej burzy żywiołów ogień migotał pod ociekającymi krzewami kolcolistu jak obłęd w oczach łasicy. Oświetlał trzy przygarbione postacie. Kiedy zabulgotał kociołek, ktoś zajączał przeraźliwie:

– Rychłoż się zejdzien znów?

Zapadło milczenie.

Aż w końcu ktoś inny odpowiedział tonem o wiele bardziej zwyczajnym:

– Myślę, że dam radę w przyszły wtorek.



Przez bezdenną otchłań kosmosu płynie gwiazdny zółw Wielki A'Tuin, niosąc na grzbiecie cztery ogromne słonie, dźwigające na barkach ciężar świata Dysku. Małe księżyc i słońce krążą wokół nich po skomplikowanych orbitach, powodujących zmiany pór roku. Nigdzie indziej we wszechświecie nie zdarza się, by słoń musiał przesunąć nogę, zwalniając drogę dla słońca.

Być może, nigdy nie uda się wyjaśnić, dlaczego właściwie tak jest. Może Stwórca wszechświata znudził się typowymi problemami nachylenia osi, albedo i prędkości obrotowych. I postanowił chociaż raz się zabawić.

Z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że bogowie tego świata nie grają w szachy – i tak jest istotnie. Nie mają dostatecznej wyobraźni. Bogowie wolą proste, okrutne gry, gdzie Nie Osiągasz Transcendencji, ale Trafiasz Prosto w Otchłań. Kluczem do zrozumienia wszelkiej religii jest fakt, że dla boga najlepszą zabawą są Węże i Drabiny z nasmarowanymi tłuszczem szczeblami.

To magia spaja świat Dysku – magia generowana jego obrotami, magia przędzona jak jedwab z pierwotnej struktury egzystencji i zszywająca rany rzeczywistości.

Wiele z tych nici kończy się w Ramtopach, górach ciągnących się od zamrożonych ziem wokół Osi poprzez długi archipelag aż do ciepłych mórz, w nieskończoność przelewających się nad Krawędzią w przestrzeń.

Pierwotna magia strzela niewidzialnymi iskrami pomiędzy jednym szczytem a drugim i uziemia się w górach. Ramtopy dostarczają światu większości magów i czarownic. W Ramtopach liście na drzewach poruszają się, chociaż nie ma wiatru. Wieczorami głązy wychodzą na przechadzkę.

Czasami nawet ziemia wydaje się żywa.



A czasami także niebo.

Burza naprawdę dawała z siebie wszystko. Miała swoją wielką szansę. Przez całe lata wędrowała po prowincji, wypełniając pożyteczne prace jako szkwał, nabierała doświadczenia,

nawiażywała kontakty, od czasu do czasu zaskakiwała niczego nie podejrzewających pasterzy albo łamała młode dęby. A teraz wolne miejsce w pogodzie dało jej okazję, by się wykazać. Rozbudowywała rolę w nadziei, że zauważy ją któryś z wielkich klimatów.

To była dobra burza. Cechowała ją godna uwagi żywołość i pasja. Krytycy zgodnie oceniali, że jeśli tylko nauczy się panować nad swymi gromami, będzie w najbliższych latach burzą wartą zobaczenia.

Lasy huczały oklaskami, pełne mgieł i zerwanych liści.

W takie noce, jak już wspomniano, bogowie rozgrywiają gry inne niż szachy. Grają losami ludzi i tronami królów. Nie wolno zapominać, że zawsze oszukują, do samego końca...

Po wyboistej leśnej drodze pędził powóz. Podskakiwał gwałtownie, gdy koła trafiały na korzenie drzew. Woźnica poganiał zaprząg, a rozpaczliwe trzaski bata zgrabnie akcentowały ryk huraganu nad głową.

Za nim... bardzo blisko za nim i coraz bliżej... mknęli trzej zaskapturzeni jeźdźcy.

W takie noce dokonują się złe uczynki. Dobre również, ma się rozumieć. Ale ogólnie rzecz biorąc, głównie te złe.



W takie noce czarownice wyruszają w świat.

No, może nie całkiem w świat. Nie lubią obcej kuchni, nie są pewne wody, a w dodatku szamani stale zajmują im leżaki. Ale dzisiaj zza porwanych chmur wylaniał się księżyc w pełni, szarpane wiatrem powietrze pełne było szeptów i bardzo wyraźnego posmaku magii.

Na swej polanie w lesie rozmawiały czarownice.

– We wtorek mam przypilnować dzieciaka – oświadczyła jedna z nich. Nie nosiła kapelusza, a tylko burzę siwych loków, tak gęstych, że przypominały hełm. – Najmłodszego naszego Jasona. Ale może być piątek. Pospiesz się z herbatą, skarbie. Gardło mi zaschło na wiór.

Najmłodsza z trójki westchnęła i chochlą przelała trochę wrzątku z kociołka do imbryka.

Trzecia czarownica poklepała ją przyjaźnie po rękę.

– Ładnie to powiedziałaś – zapewniła. – Musisz jeszcze popracować nad zgrzytaniem. Mam rację, Nianiu Ogg?

– Zgrzytanie zawsze się przyda – zgodziła się czym prędzej Niania Ogg. – Widzę, że Mateczka Whemper, niechodpoczywawspokoju, dobrze cię wprawiła w zezie.

– Przyzwoity zez – przyznała Babcia Weatherwax.

Najmłodsza, nosząca imię Magrat Garlick, uspokoiła się wyraźnie. Żywiła wielki szacunek dla Babci Weatherwax. W całych Ramtopach było wiadome, że panna Weatherwax rzadko kiedy bywa z czegoś zadowolona. Jeśli stwierdziła, że to przyzwoity zez, to oczy Magrat zaglądały pewnie w dziurki nosa.

W przeciwieństwie do magów, którzy najbardziej ze wszystkiego lubią skomplikowaną hierarchię, czarownice nie dbają o ustaloną strukturę rozwoju kariery zawodowej. Każda z nich sama decyduje, czy przyjąć do siebie jakąś dziewczynę i po śmierci przekazać jej swój teren. Czarownice nie są z natury towarzyskie, przynajmniej wobec innych czarownic, i z pewnością nie mają żadnych przywódczyń.

Babcia Weatherwax była najbardziej szanowaną ze wszystkich przywódczyń, których nie miały.

Magrat lekko drżały ręce, kiedy parzyła herbatę. Oczywiście, czuła się zaszczycona, ale i zdenerwowana, że przypadło jej zacząć pracę wioskowej czarownicy pomiędzy Babcią i – z drugiej strony lasu – Nianią Ogg. Sama wpadła na pomysł, by utworzyć miejscowy sabat. Miała wrażenie, że tak będzie bardziej... no... bardziej okultystycznie. Ku jej zdumieniu, dwie czarownice zgodziły się, a przynajmniej nie odmówiły zbyt stanowczo.

– Rabat? – zdziwiła się Niania Ogg. – A po co nam wspólny rabat?

– Jej chodzi o sabat, Gytho – wyjaśniła Babcia Weatherwax. – No wiesz, jak za dawnych lat. Spotkanie.

– Potupujemy? – spytała Niania Ogg z nadzieją.

– Żadnych tańców – uprzedziła Babcia. – Nie przepadam za tańcami. Ani śpiewami, ani nadmiernym podnieceniem, ani zabawą z różnymi maściami i tym podobnie.

– Dobrze ci zrobi takie wyjście – oświadczyła z zachwytem Niania.

Magrat była trochę rozzarowana w kwestii tańca i zadowolona, że nie zdradziła jednego czy drugiego pomysłu, który jej chodził po głowie. Sięgnęła po przyniesione z domu zawiniątko. To był jej pierwszy sabat i postanowiła, że wypadnie jak należy.

– Może ktoś ma ochotę na słodką bułeczkę? – zaproponowała.

Babcia dobrze się przyjrzała, zanim odgryzła pierwszy kęs. Każda bułeczka miała symbol nietoperza na wierzchu. Oczka nietoperzy Magrat zrobiła z rodzynek.



Powóz przebił się między drzewami na skraju lasu, wjechał na kamień, przez moment jechał na dwóch kołach, wyprostował się wbrew wszelkim prawom równowagi i pognął dalej. Jednak wyraźnie zwolnił. Hamowało go zbrocze.

Woźnica stanął na nogi, w stylu powożących rydwanami, odgarnął z czoła włosy i wpatrzył się w mrok. Nikt nie mieszkał u podnóża samych Ramtopów, a jednak widział przed sobą światło. Dzięki wszystkiemu, co łaskawe... To naprawdę światło.

Za jego plecami w dach powozu wbiła się strzała.



Tymczasem król Verence, władca Lancre, dokonywał odkrycia.

Jak większość ludzi – w każdym razie większość ludzi w wieku poniżej sześćdziesiątki – Verence nie dręczył swego umysłu rozważaniami, co się dzieje z człowiekiem po śmierci. Jak większość ludzi od samego zarania dziejów zakładał, że w końcu wszystko samo się jakoś ułoży.

I – jak większość ludzi od zarania dziejów – był teraz martwy. Leżał u stóp schodów w zamku Lancre, ze sztyletem w plecach.

Usiadł i stwierdził ze zdumieniem, że kiedy ktoś, o kim chciałby myśleć jako o sobie, siedział, coś bardzo podobnego do jego ciała pozostało w pozycji leżącej na podłodze.

To całkiem dobre ciało, uznał, po raz pierwszy oglądając je z zewnątrz. Zawsze był do niego przywiązany, choć musiał przyznać, że w tej chwili sytuacja uległa zmianie. Było potężnie i dobrze umięśnione. Dbał o nie. Wyhodował mu wąsy i długie faliste włosy. Pilnował, żeby dostarczać mu wielu zdrowych ćwiczeń na świeżym powietrzu i dużo czerwonego mięsa. A teraz, kiedy ciało bardzo by mu się przydało, akurat go zawiodło. A raczej opuściło.

W dodatku musiał jakoś ustosunkować się do stojącej tuż obok wysokiej, chudej postaci. Skrywała się pod czarną szatą z kapturem; jedna ręka, wysunięta spomiędzy fałd i ściskająca wielką kośbę, zbudowana była z kości.

Kiedy człowiek już umrze, pewne rzeczy rozpoznaje instynktownie.

WITAM.

Verence wyprostował się na pełną wysokość, a raczej to, co byłoby pełną wysokością, gdyby ta jego część, do której określenie takie mogłoby się odnosić, nie leżała teraz na podłodze oczekując przyszłości, w której jedynie słowo „głębokość” byłoby na miejscu.

– Jestem królem, zechciej pamiętać – powiedział.

BYŁEŚ, WASZA WYSOKOŚĆ.

– Co? – warknął Verence.

POWIEDZIAŁEM: BYŁEŚ. NAZYWA SIĘ TO CZASEM PRZESZŁYM. WKRÓTCE SIĘ DO NIEGO PRYZYWCZAISZ.

Wysoka postać zastukała kościanymi palcami o drzewce kosy. Była wyraźnie czymś poirytowana.

Jeśli się zastanowić, pomyślał Verence, to ja też jestem poirytowany.

Pewne wyraźne, oczywiste w tej sytuacji sugestie przebijały się nawet przez obłąkaną, brawurową głupotę, stanowiącą zasadniczą część królewskiego charakteru. Verence uświadamiał sobie powoli, że niezależnie od tego, w jakim królestwie się obecnie znalazł, to nie on jest w nim królem.

– Czy jesteś Śmiercią, przyjacielu? – zapytał.

MAM WIELE IMION.

– A którego obecnie używasz? – zapytał Verence z nieco większym szacunkiem.

Wokół nich kłębili się ludzie. Co gorsza, sporo osób kłębiło się także przez nich, jak duchy.

– A więc to Felmet – dodał król, spoglądając na postać przy-
czajoną na szczycie schodów i obscenicznie zadowoloną. – Ojciec
zawsze mi powtarzał, że nie powinienem odwracać się do niego
plecami. Dlaczego nie jestem wściekły?

GRUCZOŁY, wyjaśnił krótko Śmierć. ADRENALINA I TAK
DALEJ. I EMOCJE. NIE MASZ ICH. JEDYNE, CO CI POZOSTA-
ŁO, TO MYŚL.

Wyraźnie podjął jakąś decyzję.

TO WBREW REGULOM, mówił dalej, jakby do siebie. ALE
KIM JA JESTEM, ŻEBY SIĘ SPIERAĆ?

– Kim, istotnie.

SŁUCHAM?

– Powiedziałem: kim, istotnie.

CICHO BĄDŹ.

Śmierć przechylił czaszkę na bok, jakby wsłuchiwał się w we-
wnętrzny głos. Opadł mu kaptur i martwy król zauważył, że Śmierć
przypomina gładki szkielet pod każdym względem prócz jedne-
go: oczodoły płonęły mu błękitem nieba. Verence nie czuł strach-
u – trudno czuć strach, jeśli elementy do niego niezbędne sty-
gną właśnie o kilka stóp obok, a w dodatku nigdy w życiu niczego
się nie bał i nie miał ochoty zaczynać w tej chwili. Po części z po-
wodu braku wyobraźni, ale też dlatego że był jednym z tych rzad-
kich osobników całkowicie zogniskowanych w czasie.

Większość ludzi jest inna. Przeżywają swoje krótkie życie w ro-
dzaju temporalnego rozmycia wokół punktu, gdzie znajduje się
ich ciało: przewidują przyszłość albo nie umieją porzucić przeszło-
ści. Zwykle są tak zajęci myśleniem, co zdarzy się za chwilę, że to,
co zdarza się teraz, poznają jedynie drogą wspomnień. Taka jest
większość. Uczą się strachu, ponieważ potrafią naprawdę przewi-
dzieć – daleko poniżej poziomu świadomości – co się wydarzy. Dla
nich to już się wydarza.

Verence zawsze żył tylko w teraźniejszości. To znaczy aż do teraz.
Śmierć westchnął.

PEWNIENIKT CIĘ O NICZYM NIE UPRZEDZIŁ, rzekł znie-
chęcony.

– Słucham?

ŻADNYCH PRZECZUĆ? NIEZWYKŁYCH SNÓW? SZALONYCH WIESZCZÓW WYKRZYKUJĄCYCH RÓŻNE RZECZY NA ULICY?

– O czym? O umieraniu?

NIE, RACZEJ NIE. ZBYT WIELE OCZEKUJĘ, mruknął zgryźliwie Śmierć. WSZYSTKO ZRZUCAJĄ NA MNIE.

– Kto zrzuca? – zdumiał się Verence.

LOS. PRZEZNACZENIE. I CAŁA RESZTA. Śmierć położył królowi dłoń na ramieniu. RZECZ W TYM, OBAWIAM SIĘ, ŻE MASZ ZOSTAĆ DUCHEM.

– Aha... – Król spojrział na swoje ciało, które wydało mu się dość trwałe. A potem ktoś przez nie przeszedł.

NIE DENERWUJ SIĘ TYM.

Verence przyglądał się, jak słudzy z szacunkiem wynoszą z holu jego sztywne zwłoki.

– Spróbuję – mruknął.

ZUCH.

– Ale obawiam się, że nic mi nie wyjdzie z białych prześciera-
deł i dzwonienia łańcuchami – dodał. – Czy muszę snuć się bez celu, jęczeć i wrzeszczeć?

Śmierć wzruszył ramionami.

A CHCESZ? zapytał.

– Nie.

W TAKIM RAZIE NA TWOIM MIEJSCU BYM SIĘ TYM NIE PRZEJMOWAŁ.

Z głębin swej ciemnej szaty wyjął klepsydrę i przyjrzał się jej uważnie.

NAPRAWDĘ MUSZĘ JUŻ LECIEĆ, oświadczył.

Odwrócił się na pięcie, zarzucił kosę na ramię i ruszył przez ścianę holu.

– Chwileczkę! Zaczekaj! – krzyknął Verence i pobiegł za nim.

Śmierć nie obejrzał się. Verence ruszył za nim przez mur; przypominało to wędrówkę we mgle.

– Czy to wszystko? – zapytał. – Chcę wiedzieć, jak długo mam być duchem. Dlaczego jestem duchem? – Zatrzymał się i wzniosł władczo nieco prześwitujący palec. – Stój! Rozkazuję ci!

Śmierć smętnie pokręcił głową i przeszedł przez kolejną ścianę. Król pospieszył w jego ślady, zachowując tyle godności, ile zdołał. Znalazł Śmierć poprawiającego uprząż na wielkim białym koniu, stojącym na blankach. Koń miał na pysku worek z obrokiem.

– Nie możesz mnie tak zostawić – rzekł król widząc, że właśnie to wkrótce się stanie.

Śmierć odwrócił się do niego.

MOGĘ, oświadczył. JESTEŚ UPIOREM. DUCHY ZAMIESZKUJĄ ŚWIAT POMIĘDZY KRAINĄ ŻYWYCH I KRAINĄ UMARŁYCH. NIE JA ZA NIE ODPOWIADAM. Poklepał króla po ramieniu. NIE MARTW SIĘ. TO NIE POTRWA WIECZNIE.

– To dobrze.

ALE MOŻE SIĘ WYDAWAĆ WIECZNOŚCIĄ.

– A jak długo potrwa naprawdę?

DOPÓKI NIE WYPEŁNISZ SWEGO PRZEZNACZENIA, JAK SĄDZĘ.

– A skąd się dowiem, jakie to przeznaczenie? – wypytywał zrozpaczony król.

PRZYKRO MI, ALE W TYM NIE MOGĘ CI POMÓC.

– Jak mogę to odkryć?

JAK ROZUMIEM, TAKIE SPRAWY ZWYKLE SAME STAJĄ SIĘ OCZYWISTE, odparł Śmierć i wskoczył na siodło.

– A do tego czasu muszę nawiedzać to miejsce... – Verence rozejrzał się po murze obronnym. – I pewnie całkiem sam. Czy ktoś może mnie zobaczyć?

TAK... CI O PSYCHICZNYCH SKŁONNOŚCIACH. BLISCY KREWNI. I KOTY, OCZYWIŚCIE.

– Nie znoszę kotów.

Śmierć zeszytniał lekko, o ile to możliwe. Błękitne płomyki w jego oczach na moment zamigotały czerwienią.

ROZUMIEM, rzekł. Ton sugerował, że zgon jest zbyt dobry dla wrogów kotów. PRZYPUSZCZAM, ŻE LUBISZ WIELKIE, GROŻNE PSY.

– Szczerze mówiąc, tak. – Król spoglądał posępnie na wschodzące słońce. Psy... Będzie mu ich brakowało. A właśnie zapowiadał się świetny dzień na polowanie.

Ciekawe, czy duchy polują. Prawie na pewno nie, uznał. I pewnie też nie jedzą ani nie piją, a to już naprawdę przykre. Lubił tłumne, gwarne przyjęcia i wyżłopał* w życiu wiele kwart dobrzego piwa. Zresztą złego również. Nigdy ich nie rozróżniał; dopiero następnego ranka.

Ponuro kopnął kamień i zauważył zniechęcony, że stopa przeszła na wylot. Żadnych polowań, pijaństwa, uczt, toastów, sokółów... Zaczynał sobie uświadamiać, że bez ciała trudno o cielesne rozkosze. I nagle życie wydało mu się warte przeżywania. A fakt, że go nie przeżywa, wcale nie poprawił mu humoru.

NIEKTÓRZY LUBIĄ BYĆ DUCHAMI, zauważył Śmierć.

– Hm – mruknął smętnie Verence.

ŚŁYSZAŁEM, ŻE TO NIE TAKIE STRASZNE. MOGĄ OBSERWOWAĆ, JAK SOBIE RADZĄ ICH POTOMKOWIE... PRZEPRASZAM, O CO CHODZI?

Ale Verence zniknął już w murze.

NIE ZWRACAJ NA MNIE UWAGI, rzucił urażony Śmierć. Rozejrzał się wokół wzrokiem spoglądającym poprzez czas, przestrzeń i dusze ludzkich istot. Zauważył lawinę w dalekim Klatchu, huragan w Howandalandzie i zarazę w Hergen.

PRACA, PRACA, wymruczał i spał konia, który skoczył w niebo.

Verence pędził przez ściany własnego zamku. Jego stopy ledwie dotykały podłogi; co więcej, nierówności owej podłogi powodowały, że chwilami stopy w ogóle nie dotykały podłoża.

Będąc królem, Verence przyzwyczyił się traktować służących, jakby nie istnieli. Przenikanie przez nich w roli ducha było prawie tym samym. Jedyna różnica, to że nie ustępowali mu z drogi.

Dotarł do komnaty dziecinnej, spostrzegł wyłamane drzwi, rozrzuconą pościel...

Usłyszał tętent kopyt. Skoczył do okna, zobaczył własnego konia galopującego przez bramę między dyszlami karocy. Po kilku sekundach wyjechali za nim trzej jeźdźcy. Echo stukotu kopyt unosiło się przez moment na dziedzińcu i zamarło.

Król walnął pięścią w parapet; dłoń zanurzyła się na kilka cali w kamień.

* Żłopanie przypomina picie, tylko więcej się rozlewa.

Potem skoczył przez okno, nie dbając o wysokość, i na wpół przefrunął, na wpół przebiegł do stajni.

Zaledwie dwadzieścia sekund zajęło mu odkrycie, że do wielu rzeczy, których duchy nie mogą robić, należy dodać dosiada-
nie wierzchowca. Udało mu się wsiąść na siodło, a przynajmniej za-
wisnąć okrakiem w powietrzu o cal nad nim, ale kiedy koń wresz-
cie się spłoszył, przerażony dziwnym zjawiskiem poza uszami, Ve-
rence został na miejscu, dosiadając pięciu stóp świeżego powietrza.

Spróbował pobiec i dotarł aż do bramy, ale tu powietrze wo-
kół niego zgęstniało jak smoła.

– Nie wyjdiesz – zabrzmiał smutny, starczy głos tuż za nim. –
Musisz zostać tu, gdzie zostałeś zabity. To właśnie oznacza nawie-
dzanie. Możesz mi wierzyć. Wiem dobrze.



Babcia Weatherwax znieruchomiała z uniesioną do ust
drugą słodką bułeczką.

– Coś się zbliża – oznajmiła.

– Zgadujesz po świerzbieniu palca? – zapytała podniecona
Magrat. Wszystkiego o magii nauczyła się z książek.

– Świerzbieniu uszu – odparła Babcia. Uniosła brew i zerknę-
ła na Nianię Ogg. Stara Mateczka Whemper była na swój sposób
czarownicą wspianiałą, ale nazbyt marzycielską. Za dużo kwiatów,
romantycznych uniesień i tak dalej.

Co jakiś czas błyskawica rozświetlała ciągnące się do skraju
puszczy wrzosowiska. Deszcz, padający na ciepłą latem ziemię, wy-
pełniał powietrze smugami mgły.

– Kopyta? – zdziwiła się Niania Ogg. – Nikt chyba by tędy nie
przejeżdżał tak późną nocą.

Magrat rozejrzała się lękliwie. Tu i tam wśród wrzosowisk wy-
rastały wielkie głązy. Ich początki ginęły w pomroce dziejów, ale
podobno prowadziły ruchliwe i tajemne życie. Zadrzała.

– Czego tu można się bać? – wyszeptala niepewnie.

– Nas – odparła z dumą Babcia Weatherwax.

Tętent kopyt zbliżył się i zwolnił. A potem karetka zadudniła
między krzewami kolcolistu; konie zwiwały niemal w uprzęży. Wóz-

nica zeskoczył, podbiegł do drzwi, wyjął z powozu duże zawiniątko i ruszył w stronę trzech czarownic.

Był już w połowie drogi, kiedy zatrzymał się i wbił w Babcie Weatherwax wzrok pełen grozy.

– Wszystko w porządku – szepnęła. Cichy głos przebił się przez pomruk burzy, czysty jak dzwon.

Postąpiła kilka kroków w kierunku mężczyzny. Usłużna błyskawica pozwoliła spojrzeć prosto w jego oczy. Były skupione w ten szczególny sposób, który tym, co Wiedzą, mówił wyraźnie, że ich właściciel nie patrzy już na ten świat.

Ostatnim wysiłkiem wcisnął zawiniątko w ręce Babci i runął na twarz; pióra beltu z kuszy sterczały mu z pleców.

Trzy postacie wstąpiły w krąg światła ognia. Babcia spojrzała w inne oczy – oczy lodowate jak zbocza Pieła.

Ich posiadacz odrzucił na bok kuszę. Kiedy wyciągał miecz, pod jego przemoczoną płaszczem błysnęła kolczuga.

Nie zakręcił młynka ostrzem. Oczy, wciąż wpatrujące się w twarz Babci, nie należały do człowieka, który lubi kręcić młynki. Należały do kogoś, kto doskonale wie, do czego służą miecze.

Wyciągnął rękę.

– Oddasz mi to – rzekł.

Babcia odchyliła koc z zawiniątka i spojrzała na małą twarzyczkę spowitą w sen.

Podniosła głowę.

– Nie – oświadczyła dla zasady.

Żołnierz zmierzył wzrokiem ją, a potem Magrat i Nianię Ogg, stojące nieruchomo jak głazy na wrzosowiskach.

– Jesteście czarownicami? – zapytał.

Babcia przytaknęła. Błyskawica przeszła niebo i pięćdziesiąt sążni od Babci krzak rozbłysnął płomieniem. Dwaj żołnierze za dowódcą zamruczeli coś, ale on uśmiechnął się tylko i uniósł okrytą kolczugą dłoń.

– Czy skóra czarownic odbija stal?

– Nic o tym nie wiem – odparła chłodno Babcia Weatherwax.
– Chcesz sprawdzić?

Jeden z żołnierzy podszedł i ostrożnie stuknął dowódcę w ramię.